

Historia Polski według Briana Portera-Szücsa

ZWYCZAJNA WYJĄTK

Amerykański badacz twierdzi, że polityka nie dotyczyła większości narodu polskiego, tylko inteligencji, bo większość nie odczuwała ani zaborów, ani stalinizmu, ani stanu wojennego, a w czasie wojny była bierna. To obraz karykatu-
ralny.

Maciej Janowski

P

Pewnego dnia na przełomie lat 80. i 90. XX w. w Sali Kościuszkowskiej Instytutu Historii PAN na Rynku Starego Miasta w Warszawie, na zebraniu kierowanej przez Jerzego Jedlickiego Pracowni Dzie-
jów Inteligencji, młody amerykański histo-
ryk opowiadał o swych badaniach historii
polskiego nacjonalizmu. Od niego po raz
pierwszy dowiedziałem się, że w zachodniej
nauce istnieje coś takiego jak „linguistic
turn” – wzmożone zainteresowanie proble-
matyką języka, zmian znaczeń słów, historii
pojęć. Te tematy zawsze mnie fascynowały,
więc ogromnie się ucieszyłem, że mają one
po angielsku tak zgrabną nazwę i że budzą
zainteresowanie licznych badaczy. Od tej
pory czytam teksty Briana Portera-Szücsa
z wielką ciekawością i satysfakcją. Zwłasz-
cza jego badania nad rozwojem polskiego
radykałnego nacjonalizmu na przełomie
XIX i XX w. uważam za niezwykle ważne.

Natomiast wydany syntetyczny obraz
historii Polski XX w. (z rozbudowanym
rozdziałem wstępnym dotyczącym XIX w.)
pod ładnym tytułem „Całkiem zwyczajny
kraj” budzi we mnie sprzeczne uczucia.
Z jednej strony, jest to świetna książka.
Nieprzeciążona nudną faktografią, prze-
kazująca spójny obraz. A z drugiej strony,
wydaje mi się zbyt powierzchowna. Autor
pisze, że historyk zawsze powinien mówić
„to bardziej skomplikowane”, a jednak
sam zbyt upraszcza skomplikowane pro-
blemy.

• • •

Co do zwyczajności w zasadzie się zga-
dzam. Mnie również niezwykle irytuje ciąg-
łe głoszenie wyjątkowości Polski. Kwestia
jest jednak – że zacytuję autora – „bardziej
skomplikowana”. Z lektury książki wynosi
się wrażenie nie tyle zwyczajności, ile pew-
nej banalności historii Polski. Wszystkie
zjawiska, czy to okupacja, czy komunizm,
czy obecne problemy z populizmem, są
właściwie takie same jak w innych krajach.
Ale to nie jest tak: typowość czy też zwy-
czajność Polski nie polega na tym, że jej

historia jest taka sama czy nawet z grubsza
taka sama jak innych krajów. To prawda
– nikt nas nie wyjął spod funkcjonowania
praw fizyki i prawidłowości socjologicz-
nych czy gospodarczych. Wiedzieli o tym
zresztą inteligentni autorzy już dawno, jak
choćby historycy tzw. szkoły krakowskiej
w II połowie XIX w. (Józef Szujski, Michał
Bobrzyński). Te ogólne prawidłowości dzia-
łają jednak w specyficznych warunkach
lokalnych: geograficznych, klimatycznych,
gospodarczych, kulturowych, politycznych.
Ogólne prawidłowości oraz specyficzne
okoliczności czasu i miejsca jakoś oddzia-
łują na siebie wzajemnie: w efekcie wszyst-
kie kraje są zwyczajne, ale zarazem każdy
jest inny.

Od dawna starano się wprowadzić ład
w tę różnorodność. Temu służą koncepcja
centrów i peryferii, rozwoju zależnego,
a także pojęcie zacofania gospodarczego
(nie „zacofania” w rozumieniu publicy-
stycznym). Wielcy historycy, jak Witold
Kula i Tadeusz Łepkowski, analizowali zja-
wisko tzw. peryferyjnego kapitalizmu za-
leżnego, nastawionego raczej na produkcję
surowcową niż wyrobów przemysłowych,
współistniejącego z gospodarką tradycyjną
(Kula ukuł piękną frazę „koegzystencja
asynchronizmów”).

Można ten „zależnościowy” nurt my-
ślenia odrzucać – ale nie należy go igno-
rować, bo inaczej czytelnik zaczyna się
zastanawiać, czy przedstawiając problemy
społeczne Polski jako właściwie tożsame
z problemami krajów o wiele bogatszych
(jak robi to autor omawianej książki), nie
gubimy jednak czegoś istotnego.

• • •

Porter-Szücs pisze, że ta typowość objawia
się najwyraźniej na poziomie zwykłych lu-
dzi, a nie polityków. Polityka według niego
w zasadzie nie dotyczy większości narodu
polskiego, tylko inteligencji z jej „narcy-
stycznym altruizmem” (świetne, błysko-
tliwe sformułowanie, ale rażąco niespra-
wiedliwe), bo większość społeczeństwa nie
odczuwała ani zaborów, ani stalinizmu, ani
stanu wojennego, a w II wojnie światowej
była bierna. To jest obraz karykatu-
ralny; ale nawet gdyby był prawdziwy – co z tego?
Czy właściwym zadaniem pracy histo-
rycznej jest przedstawienie tego, co było
najważniejsze dla większości mieszkańców
badanego regionu? Czy praca historyka
nie zredukowałaby się wtedy do historii
alkoholizmu, życia seksualnego i zjawisk
fizjologicznych? Nie chciałbym dożyć
czasów, gdy takie podejście zacznie domi-
nować. A zresztą, wbrew zapowiedziom
Portera-Szücsa, codzienność ludzi jest w tej
książce niemal nieobecna.

Zupełnie inaczej niż on widzę kwestię
wybuchu powstania warszawskiego. Je-
stem, nieraz o tym pisałem, zdecydowanym
krytykiem tej decyzji. Uważam ją za przera-
żający błąd, może największy w całej historii



• **Rozruchy antyżydowskie w Mińsku Mazowieckim, 1936 r.** FOT. ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Polski – błąd, który przyniósł śmierć stu
kilkudziesięciu tysiącom ludzi. Ale autor nie
zauważa, że dowódcy Armii Krajowej byli
w sytuacji tragicznej, w której nie było do-
brego ani nawet średniego wyjścia, był tylko
wybór między wyjściem złym a bardzo złym.
Wybrali bardzo źle – dlaczego?

Mam wrażenie, że Porter-Szücs zupeł-
nie nie czuje, czym było odzyskanie nie-
podległości dla wykształconych Polaków
niezależnie od światopoglądu – od ende-
ków do pepeesowców. W 1944 r. widać było
coraz jaśniej, że ta niepodległość zostanie
utracona, co rodziło rozpacz, która nie
sprzyjała racjonalnym analizom. To do-
wódców Armii Krajowej nie usprawiedli-
wia, ale częściowo tłumaczy. Bo ta rozpacz
miała całkowicie realne powody. Nie ma
racji Porter-Szücs, gdy pisze, że Komenda
Główna AK musiała zdawać sobie sprawę,
że fizyczny byt polskiego narodu nie jest za-
grożony. Było odwrotnie: musiała zdawać
sobie sprawę z czegoś przeciwnego. W lecie
1944 r. nie było jeszcze przykładu, aby Sta-
lin z podbitego terenu stworzył państwo sa-
telickie, takie jak PRL. Przywódcy Polskiego
Państwa Podziemnego mieli wszelkie dane,
by oczekiwać, że Polska zostanie włączona
do ZSRR jako „siedemnasta republika”,
a następnie będzie wobec niej zastosowany
wariant ukraiński – przymusowa i okrutna
kolektywizacja, wymordowanie nie tylko
elit, lecz także dużej części społeczeństwa.
W tej sytuacji mogła nasunąć się myśl, aby
powtórzyć manewr Józefa Piłsudskiego
z 1914 r.: podobnie jak Piłsudski ogłosił
rząd tymczasowy po zajęciu Kielc, kiedy
przez moment były wolne od zaborców,
tak i teraz w Warszawie trzeba odczekać do
momentu, gdy Niemcy już wyszli, Rosjanie
jeszcze nie weszli, i w tym wąskim okienku
kilku godzin zająć miasto i stworzyć fakt
dokonany, by wystąpić wobec nowych oku-
pantów jako prawowity gospodarz.

Historia się nie powtarza, sytuacja była
inna i ta kombinacja nie miała szans – była

błędna, ale nie była absurdalna. Piszę to nie
po to – powtórzę – by bronić jednoznacznie
błędnej decyzji, lecz by próbować ją zrozu-
mieć. Porter-Szücs zaś przypisuje dowód-
com powstańczym wiarę w jakąś dziwną
nacjonalistyczną karykaturę romantyzmu.
Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

• • •

Dużo uwagi poświęca autor konfliktom
narodowościowym i tutaj ma podobną od-
powiedź: winne są elity. Chłop Jacek i Żyd
Icek mogli się na co dzień nie lubić, chłop
mógł uważać, że Żyd sprzedaje towary zbyt
drogo w sklepiku, ale nie żywili do siebie
jakieś fundamentalnej wrogości. Dopiero
inteligenci na początku XX w. nauczili ich,
że mają się nienawidzić. To nie jest przy-
padek, pisze Porter-Szücs, że najsilniejszy
antysemityzm, najmocniejsza endecja
w okresie międzywojennym były w Po-
znańskiem – bo tam prawie wcale nie było
Żydów. Autor nie sądzi, by często przywo-
ływane stwierdzenie, że w Polsce po 1945 r.
mamy „antysemityzm bez Żydów”, było
paradoksem – według niego brak Żydów
jest właśnie warunkiem wytworzenia się
radykałnego antysemityzmu. Codzienne
kontakty dają bowiem pewną znajomość
żyjącej po sąsiedzku odmiennej grupy
etnicznej, a co za tym idzie, uodparniają
może nie na każdą wrogość, ale przy-
najmniej na najbardziej radykalne hasła
nacjonalistyczne.

To jest piękny obraz, ale w świetle tego
wszystkiego, co wiem o historii – całkowi-
cie nieprawdziwy. Nigdzie nie jest powie-
dziane, że bezpośredni kontakt z jednost-
kami czy z grupami redukuje uprzedzenia
– bywa różnie, to zależy od wielu czynni-
ków. Jeśli endecja była tak silna w Poznań-
skiem, to prawdopodobnie raczej ze wzglę-
du na swą antyniemieckość niż antysemi-
tyzm, a antyniemieckość właśnie łączyła
się z bliskimi kontaktami z Niemcami, nie
zaś z brakiem tych kontaktów. To prawda,

OWOŚĆ



że wzmożenie konfliktów etnicznych szło od końca XIX w. z góry – od nacjonalistycznie nastawionych inteligentów. To prawda, że stanowisko elit ma wpływ na konflikt etniczny – mądra, ewolucyjna, dalekosiężna polityka mogłaby stopniowo ten konflikt redukować, a radykalny, agresywny nacjonalizm elit sprawia, że konflikt staje się ostry, często krwawy. Niemniej nie da się utrzymać tezy, że konflikt wynika wyłącznie z przejścia się biednych, zwiedzionych mas trującą ideologią inteligencji. Jest tu w grze niezwykle skomplikowany stop różnych czynników, zarówno oddolnych, jak i odgórnych, którego nie da się przedstawić w recenzji, ale którego na pewno nie można upraszczać, tak jak zrobił to Porter-Szűcs.



Prezentując dwie wielkie reformy gospodarcze – Władysława Grabskiego i Leszka Balcerowicza – autor przedstawia się jako zwolennik tzw. nowej teorii ekonomicznej, według której państwo nie musi troszczyć się o dług publiczny, bo emisja pieniądza jest tylko formą prowadzenia polityki gospodarczej. To jednak jest wciąż jeszcze nurt ekscentryczny, odrzucony przez większość liczących się ekonomistów. Ciężar dowodu leży więc po stronie jego zwolenników, a tymczasem Porter-Szűcs wprowadza tę myśl en passant w przypisie. Gorzej jednak, że z tego założenia wypływa lekceważenie obu wielkich reform. Jeśli chodzi o reformy Grabskiego – odsyłam czytelnika do najnowszej pracy jednego z najwybitniejszych dziś badaczy społeczno-gospodarczej historii Polski międzywojennej Włodzimierza Mędrzeckiego, który nie jest chwałką międzywojnia, ale nie ma wątpliwości, że zrównoważenie waluty i opanowanie inflacji było warunkiem funkcjonowania państwa. Zdecydowanie wierzę Mędrzeckiemu, a nie Porterowi-Szűcsowi.

Porter-Szűcs sądzi, że obie te reformy miały w zasadzie jeden cel: zdyscyplinowanie siły roboczej przez pogorszenie jej położenia materialnego. Ale przecież pogorszenie położenia materialnego było ubocznym skutkiem reform, nie ich celem. Jeśli zaś chodzi o reformy Balcerowicza, to Porter-Szűcs nie zauważa – wydaje się to nie do uwierzenia! – ich celu podstawowego: poddania polskiej gospodarki rynkowej weryfikacji. Nie ma innego niż rynek sposobu, aby zdecydować o opłacalności przedsiębiorstwa. Gospodarka komunistyczna była w większości nieefektywna nie w tym sensie, że nie potrafiła niczego wyprodukować – to się jej czasem udawało – ale że produkowała wyroby złe po nieproporcjonalnych kosztach. W sytuacji gospodarki nakazowo-rozdzielczej, kiedy ceny były ustalane przez centralnego planistę, nie dało się oszacować opłacalności produkcji: reformy Balcerowicza ukazały po prostu, że król jest nagi, i przywiodły do bankructwa te przedsiębiorstwa, które produkowały ze stratą. Rachunki przedsiębiorstw ani budżet państwa nie są – wbrew temu, co zdaje się sądzić Porter-Szűcs – abstrakcją, lecz odzwierciedlają realne zjawiska społeczne. Cała gospodarka, czy jej większość, nie może na dłuższą metę przynosić strat.

I jeszcze jedno: Balcerowicz objął gospodarkę w stanie skrajnego kryzysu. Czasem, czytając krytyków tych reform, ma się wrażenie, że liberalowie z jakiejś doktrynalnej zaciekleści zniszczyli doskonale funkcjonujące instytucje socjaldemokratyczne. Tymczasem zastali ruiny gospodarki, które starali się posprzątać, aby na nich wybudować coś nowego – i to się udało. Porter-Szűcs pisze, że polski rozwój gospodarczy zaczął się dopiero po wejściu do Unii Europejskiej, co jest kolejnym sposobem marginalizacji znaczenia reform początku lat 90. Ja zaś mam wrażenie, że w tysiącletniej historii Polski mało było sukcesów tak wielkich jak reformy gospodarcze początku lat 90. XX w.

W tej książce w ogóle nie ma kultury polskiej, polskiej myśli, sztuki, literatury. W jakiś sposób współgra to z pominięciem roli polskich elit. Historia Polski XX w. bez Wyspiańskiego, skamandrytów, Miłosza, Herberta, ale także bez Boya, Irzykowskiego, Kisiela, Giedroycia, Turowicza wydaje mi się rażąco okaleczona.

A po tym wszystkim chciałbym powiedzieć, że jestem w jakiś sposób pod urokiem książki Portera-Szűcsa. Bardzo dobrze napisana, inteligentna, pełna interesujących propozycji interpretacyjnych (to, że ja się z nimi akurat nie zgadzam, nie czyni ich mniej wartościowymi) i – co jest akurat mniej ważne z profesjonalnego punktu widzenia, ale bardzo mile – nieukrywanej sympatii do Polski.



Niemal jednocześnie ukazała się po polsku druga praca Portera-Szűcsa „Wiara i ojczyzna. Katolicyzm, nowoczesność i Polska”. Przeczytałem ją wiele lat temu po angielsku i się zachwyciłem. Myślę, że jest to jedna z najlepszych książek o historii polskiej religijności i o politycznej (nie duchowej ani teologicznej) historii Kościoła katolickiego. Jest napisana z niezwykłym taktem: z dystansem i krytycyzmem w stosunku do Kościoła, ale i z empatią wobec jego stanowiska. Myślałem sobie: to trochę wstyd, że nikt z nas – polskich historyków – nie napisał tej książki, że musiał przyjść cudzoziemiec, aby napisać ją za nas.

➤ Tezą książki jest, że na przełomie XIX i XX w. rodził się Kościół nowoczesny, który istotnie różnił się od Kościoła tradycyjnego. Tradycyjnie Kościół mówił do pojedynczego chrześcijanina, straszył go perspektywą piekła, pocieszał nadzieją zbawienia i głosił, że ostatecznie każdy zostanie oceniony według własnych dobrych i złych uczynków. Pod koniec XIX w. – pisze Porter-Szűcs – Kościół dokonał „eksternalizacji” zła. Już nie moje własne złe uczynki są tym cierniem, który rani wspólnotę chrześcijan. Teraz są nim Żydzi, masoni, liberalowie itp. Kościół, zamiast wskazywać swym wyznawcom indywidualne zło w ich wnętrzu, zaczyna wskazywać kolektywne zło na zewnątrz.

Ta teza wydaje mi się z grubsza trafna. Autor zauważa, że polscy pisarze katoliccy nie traktowali Żydów jako pierwszorzędnego problemu aż do końca XIX w. Na przełomie stuleci coś się zmieniło. Nastąpiło przesunięcie akcentów, którego symbolem było polityczne zbliżenie Kościoła do endecji w początkach XX w.

Porter-Szűcs pokazuje, jak stopniowo Kościół stawał się orędownikiem skrajnego nacjonalizmu i antysemityzmu. Z pewną melancholią cytuje absurdalne sformułowania o śmiertelnym zagrożeniu żydowskim z pewnego tygodnika katolickiego z datą wydania 3 września 1939 r.! Wtedy, podobnie jak teraz, większość tygodników miała datę niedzielną, ale ukazywały się kilka dni wcześniej – ten numer zapewne w czwartek, 31 sierpnia. Czytelnicy, którzy się pospieszyli – konstatuje Porter-Szűcs – mogli zdążyć przeczytać artykuł o zagrożeniu żydowskim jeszcze przed rankiem 1 września 1939 r.



Porter-Szűcs w swojej książce Kościoła ani nie demonizuje, ani nie idealizuje. Widzi w nim rzeczy złe i dobre, widzi zdolność zmiany i autorefleksji, widzi też tendencje, których symbolem jest Radio Maryja. Słusznie zwraca uwagę, że z punktu widzenia historyka (bo z punktu widzenia teologa, o ile wolno mi sądzić, chyba niekoniecznie) zwolennicy zarówno Radia Maryja, jak i bardziej otwartej wersji katolicyzmu mogą zasadnie uważać się za prawdziwych katolików. Która z tych tradycji zwycięży, nie wiemy – przyszłość jest otwarta.

Od czasu amerykańskiego wydania „Wiary i ojczyzny” (2011) wszelkie złe tendencje w polskim życiu publicznym wzrosły ogromnie. Wtedy Porter-Szűcs mógł mieć rozsądną nadzieję, że elementy nacjonalizmu, antysemityzmu itp. w polskim Kościele będą stopniowo ulegały marginalizacji. Po kilkunastu latach widzimy, że tak się nie stało, i obraz Kościoła – słusznie – jest w obecnej wersji książki bardziej krytyczny niż w edycji amerykańskiej.

W obu książkach autor nawiązuje do współczesności, w obu obecna jest myśl, że podstawa dzisiejszego konfliktu politycznego w Polsce jest w pewnym sensie „prepolityczna”. Ludzie z natury dzielą się na „wspólnotowców”, potrzebujących poczucia przynależności do kolektywu, i indywidualistycznych „merytokratów”. Ten podział nie zaniknie, bo jest bardziej pierwotny niż podziały partyjne: jedyne wyjście jest więc takie, aby obie strony się trochę „posunęły”, chociaż na tyle, by przyznać drugiej stronie prawo do istnienia. To nawoływanie nie do symetryzmu, ale do minimum empatii wobec przeciwnika, bez której społeczeństwo nie może funkcjonować.

Podsumowując, „Wiarę i ojczyznę” uważam za książkę wybitną, lekturę obowiązkową dla każdego zainteresowanego tematem. „Całkiem zwyczajny kraj” jest natomiast oryginalną, inteligentną, bardzo ciekawą i dość kontrowersyjną syntezą najnowszych dziejów Polski. Każdy przeczyta ją z korzyścią, ale bardzo bym się cieszył, gdyby nie była to jedyna książka, z której czytelnik czerpie wiedzę o historii naszego kraju. ●